

WOJCIECH WOLNICKI

UZNANIE



WOJCIECH WOLNICKI

UZNANIE

WOJCIECH WOLNICKI

UZNANIE



Copyright © by Wojciech Wolnicki, Stanica 2023
Copyright © by Wydawnictwo Opener, Stanica 2023

Wydanie I
ISBN 978-83-67837-02-6 (druk)
ISBN 978-83-67837-04-0 (ebook)

Grafika:
Tobiasz Stochel

Redakcja:
Dagmara Adwentowska

Korekta:
Czcionka Natalia Tarka

Łamanie i DTP:
Studio *grafpa*, www.grafpa.pl



www.wydawnictwoopener.pl

@wydawnictwoopener
@wojciechwolnicki

Konwersja:
Studio *grafpa*, www.grafpa.pl

Wszystkim rodzicom



Hajime! Japońska komenda śni mi się niemal co noc. Wykrzykuję ją, wyzywając przeciwnika na pojedynek, lecz on się nie stawia. Nie czuję, bym wygrał walkowerem. Samotnie stoję na macie w wielkiej sali i czekam. Przez moje rozgrzane wysiłkiem ciało nadal przepływają fale ciepła, lecz już się nie pocę. Jestem napięty niczym cięciwa łuku. Wystarczy ją zwolnić i w ułamku sekundy każda komórka wykona swą powinność. Cisza dzwoni w uszach, a biel lekkiej zbroi odbija promienie słońca, sączące się wąskimi strużkami przez zabezpieczone okratowaniem okna. *Hajime!* Nic ci to nie mówi. *Hajime!* To początek, początek walki, honorowej walki. *Hajime!*

Budzi mnie suchość w gardle. To kac, jedyny w swoim rodzaju. Pierwszy i od razu na poziomie mistrzowskim. Wróc. To suma wszystkich kaców, które zgodnie z polską tradycją powinny się wydarzyć, lecz do których nigdy wcześniej nie doszło. Pali mnie przełyk, język stoi kołkiem i niewiele pamiętam z wczorajszego wieczora. Słowo „kac” brzmi obco, zagranicznie, jakby nie zdążyło mi się utrwalić. Jego efekty – przeciwnie. Tępy ból skryty w mózgowcaszce od dobrej chwili usiłuje się ze mnie wydostać, tłukąc się o ścianki niczym opasły dobosz. Jeb w lewą skroń, jeb w prawą. Potem serią po czole, a w zasadzie od jego wewnętrznej strony, jak z erkaemu. A na koniec w potylicę, jeb. Przekrzykuję się z nim i walczę, lecz jestem na przegranej pozycji. Powinno mnie to dziwić, bo zazwyczaj nie miałby ze mną żadnych szans, ale w tym żałośnie wczorajszym, przepitym stanie moja ambicja nie potrafi się dźwignąć z pozycji leżącej. Otwieram sklezione powieki, unoszę je z wysiłkiem na nieznaczną wysokość. Jak razi, o matko.

Szarość świtu tego ranka okazuje się nazbyt jaskrawa, więc mrużę oczy jak leniwy kocur. Na nic się to zdaje, ból głowy nie odpuszcza. Postanawiam odgonić myśli o własnej degrengoladzie. Chcę, by zamiast skupiać się na drodze krzyżowej, którą właśnie stąpom, mój mózg zajął się czymkolwiek innym. No, dawaj, weź się do roboty, Chodź-tu-leniu, już ja ci wymyślę zajęcie, krzyczę do niego, a przynajmniej tak mi się zdaje. Pojawia się pierwsza, niezbyt nachalna myśl, bardziej przypomnienie o moim wrzodzie. Jezu, kłuje. Nadludzkim wysiłkiem odganiam świadomość bólu, równolegle chwytam się niczym brzytwy innych bezproduktywnych myśli, byle się czymś zająć. Uduje mi się ujarzmić nie do końca ukształtowane spostrzeżenie, że najwyraźniej coś tutaj śmierdzi. To dobrze, kalkuluję, szczególnie swym drobnym zwycięstwem, choć po tej ilości spożytych procentów trudno mi je nazwać ciągiem przyczynowo-skutkowym. Mimo panoszącej się od jakiegoś czasu w moim nosie wilgoci udaje

mi się wyizolować kilka szczegółów dotyczących natrętnego zapachu. To kiedyś obcy, a obecnie dobrze znany współlokator mojej skromnej sypialni. Najpierw wyczuwam pierwsze nutki, dopiero po chwili całą wielowarstwową głębię. Zapach nie jest przyjemny, raczej kwaśnawy, duszący. Kombinuję, jak otworzyć okno, nie ruszając się z łóżka, ale nic logicznego nie przychodzi mi do głowy. Omiatam wzrokiem cały ten syf, który musiał uzbierać się przez dobrych kilka dni. Usiłuję sobie cokolwiek przypomnieć. Widzę zasuszone rośliny, w zasadzie ogołocone z życia kikuty, poznaję je. To moje. Trudno, skoro wszystko da się odbudować, to i z nimi sobie poradzę. Widzę butelkę z niedopitym cydrem, po powierzchni którego pływa kilka podtopionych muszek. Jak im tam? Owocówki. I butelki, masa butelek, po winie, nalewkach i koniaku, magazynowane latami nietrafione prezenty, które najwyraźniej wreszcie na coś się przydały. Buteleczki po małych dostrzegam nie od razu, bo skupiam się na talerzach z resztkami jedzenia, okruchami chipsów, ogryzkami jabłek, nawet kośćmi po golonce. Muszy paśnik, tak nazwałem to wczoraj, coś kojarzę. Wszystko ufajdane w ketchupie i sosie o optymistycznie brzmiącej nazwie „Samurai”. Serio? Ja pierdolę, już go nie znoszę. Nie powinienem robić zakupów po pijaku. Przyglądam się butelce okiem detektywa, lecz obraz mi się zlewa. To przecież zwykły majonez, może lekko chrzczony, zmiksowany ze zbędnymi przyprawami, oceniam. Przy okazji zauważam kilkanaście puszek po piwie, idealnie zgniecionych. A więc dlatego czuję lewą piętę. Chyba tej właśnie broni użyłem, by się rozprawić z walcowatym kształtem aluminiowych żubrów. Aha, i jeszcze pudełko po pizzy z kilkoma niezjedzonymi brzegami. Szukam w głowie odpowiedzi na pytanie o termin konsumpcji. Chyba poniedziałek, a może wtorek. A który mamy dziś dzień? Jak długo ślęczę w tym stanie? Kolejna przywiana myśl podpowiada, że około pięciu dni. A może piętnastu? Mam tylko przebliski pamięci, ale to raczej czarno-białe zdjęcia, nie ruchome obrazy. Kurwa, jak mi się

chce pić. Obok łóżka stoi konewka. Sięgam po nią, lekka jakaś, ani kropli. Niech to szlag!

Smród daje znać o sobie, więc oddycham ustami. Gorzka susza zatruwająca kubki smakowe oblepia mi wnętrze jamy ustnej od podniebienia przez gardziel aż po krtań. Drapię się po policzku zamiast po głowie, jakbym chciał znaleźć rozwiązanie. Nie przypominam sobie, by kiedykolwiek w życiu moja twarz była pokryta włoskami tej długości. Potrafię jednak ocenić, że to zarost co najmniej tygodniowy, czyli tyle samo czasu tkwię w jednym ubraniu: koszuli, kiedyś białej, obecnie pożółkłej, a może maślanej, trudno, i moich ulubionych sztruksach. Sprawdzam sztywność skarpet. Jednak trzeba wywietrzyć. Zwlekam się więc z łóżka i podchodzę do okna. Ruszam się ociężale, lecz udaje mi się je otworzyć nawet bez wysiłku, łapczywie łapię oddech otwartą na oścież gębą. Ale ukojenie. Chłodne i przede wszystkim wilgotne poranne powietrze dezynfekuje podrażniony zgagą przełyk i wędruje wprost do płuc.

Tymczasem na zewnątrz świta. Lekka mgła rozmywa zwyczajową nijakość osiedla, o tej porze wyludnionego, znajdującego się prawie w samym sercu Mokotowa. Pomimo wczesnej pory co jakiś czas słyszę przeraźliwe odgłosy, jeszcze z daleka. Najpierw je bagatelizuję, bo brzmią jak kłótnia kochanków. Zapewne wracają z imprezy: rozhisteryzowana kobieta, raczej siksa o piskliwym głosiku, i mężczyzna, palant lekceważący jej rozpaczliwą sytuację, rzuca jej na odczepnego krótkie, samcze odzywki niczym smagnięcia rzemieniem. Mam ochotę krzyknąć, by pozamykali mordy, ale nie potrafię zebrać się w sobie. A gównu mnie to obchodzi, niech się pozabijają. Oddaję się zatem celebrowaniu chłonięcia pełnymi garściami naturalnej świeżości, która przynosi mi względną ulgę. W sumie jak na końcówkę wiosny rano jest wyjątkowo chłodny. Zauważam, że z każdym wydechem kłębi się para. Czuję otulający mnie dreszcz i ostatecznie wilgoć zaczyna budzić moją irytację. Już wystarczy tego wietrzenia.

Zamykam okno, lecz nie odchodzę. Coś powstrzymuje mnie przed powrotem do łóżka, więc stoję i wpatruję się w obraz za szybą jak ameba. I nagle zauważam coś, co na początku nie wydało mi się oczywiste. Chodnikiem, dość blisko naszego bloku, zmierza żołnierskim krokiem podstarzały mężczyzna, skupiony na obranym celu. Za nim, w odległości kilku kroków, drepcze jakiś młodzian. Chyba. Tak mi to wygląda. Dopiero w tym momencie poszedłbym o zakład, że rozdrzany, płaczący głosik, który usłyszałem przed chwilą, nie należał do kobiety. Uchyłam okno, by się upewnić. A jednak. To ten szczupły chłopak tak pisał, miauczał, pojękiwał, histerycznie zawodząc. Czy dobrze widzę, że jest nagi? Latarnia, obok której przechodzi, daje mi pewność, rzucając światło na ten obraz nędzy i rozpacz. Chłopak szczupły, golusienki, idzie boso, zasłania krocze dłońmi. W końcu podbiega do mężczyzny i zrównuje się z nim w marszu. Nachalnie patrząc w jego kierunku, stara się wymusić zainteresowanie swoim dramatycznym położeniem.

– Niech mnie pan wreszcie wysłucha! – krzyczy, choć jego głos brzmi niemęsko.

– Idź sobie – odpowiada mu spokojnym tonem stary palant, celowo odwracając głowę.

– Ale jak mam iść?! Nie widzi pan, jak wyglądam?

– Trzeba było nie pić.

Biorę to do siebie, to ja pochłonąłem morze alkoholu. A więc dochodzą wyrzuty sumienia, jak by mi jeszcze było mało.

– Nie piłem! Już panu mówiłem z tysiąc razy! – Młodzieniec wrzeszczy, po czym z bezsilności płacze jak jeden z tych bachorów, które robią sceny na ulicy, doprowadzając rodziców do cienkiej granicy pomiędzy wstydem a chęcią wściekłego sprania na goły tyłek.

Chłopak zachowuje się nerwowo, jakby utracił rozum, nadzieję i przede wszystkim godność. I co się mażesz, cioto? Nie zachowuj się jak baba. Nagle dociera do mojej durnej łepetyny, że ten mały,

jazgoczący niczym ratlerek biedak może być w twoim wieku. Szesnaście lat? Nie. Chyba ciut starszy, ale niewiele, najwyżej rok. Trzeźwieję w mgnieniu oka. Napływają kolejne pytania, a każde wymusza potrzebę znalezienia konkretnej odpowiedzi. Czuję, że mój organizm zaczyna się mobilizować, wzywa na pomoc szare komórki, by wyprodukowały impulsy życia, iskry będące zarzewiem mozolnie tworzących się myśli. Jakbym po prostu nie miał innego wyjścia, mam zareagować i już, włączyć się w ten poranny cyrk, którego jestem jedynym świadkiem. Nawet głowa przestaje mnie napieprzać, a kac przechodzi na stronę wroga i staje się jego milusim sprzymierzeńcem. Musisz coś zrobić, krzyczy wiele gardeł, ich wrzask wypycha się przez uszy wprost do mojej głowy. Ratuj go!



Do tego miejsca i tych okoliczności doprowadziła mnie seria zapętłonych zdarzeń, zaledwie półtora miesiąca wcześniej wiodłem poukładane, według mojej miary szczęśliwe życie. Znasz mnie na tyle, by zrozumieć, co akurat mam na myśli. Kiedyś sportowiec z sukcesami, obecnie trener judo i wychowawca młodzieży. Autorytet. Zawsze schludny, ogolony, świetnie zbudowany, w formie. Od czasów chłopięcych krótko ostrzyżony, z idealnie przyciętymi paznokciami, u stóp także. Nie zwracam uwagi na modę, ubieram się praktycznie. Można powiedzieć, że bije ode mnie świeżość. Z powodu obranej dawno temu diety mam zdrowy, czysty oddech, tak przydatny w bliskim kontakcie z moimi wychowankami. Nie ma nic gorszego niż nieładny zapach z ust. Brzydzę się papierosami, bo cuchną, mięsem, bo zalega w trzewiach, długo szczotkuję zęby i jestem zatwardziałym abstynentem. W relacjach z młodzieżą należy błyszczeć, stanowić przykład, to moje motto, które powtarzam sobie po każdym zdrowym śniadaniu. Zasady muszą być. Kolejna sprawa – *judo*gi, choć utarło się spolszczenie judoga, nie mylić z kimonem, bo to bluźnierstwo.

Otóż judoga powinna być idealnie biała. Nie rozumiem, po co wprowadzono wersję niebieską. Że niby bardziej widać poprzez kontrast? Może i ładnie się prezentuje, ale moim zdaniem tylko w telewizji. Na żywo to co innego. Przez dziesiątki lat nikomu nie przeszkadzało, a w kolebce judo, Japonii, do dziś niczego nie zmieniono, bo po co. Śnieżnobiała judoga wprost kojarzy się z czystymi intencjami, do tego *obi*, czyli pas o kolorze oznaczającym stopień wtajemniczenia, czyste serce i umysł. Nic więcej. To kwintesencja judo. Powinieneś wiedzieć, że noszę czarny pas, ale w stopniu mistrzowskim. Jestem *sensei*, posiadaczem *yondan*, czyli czwartego *dan*. Moja jedyna miłość, wreszcie potrafię to powiedzieć, niefortunnie nazywana sportem walki, została wymyślona do obrony. To filozofia życia, której jestem wierny od dziecięcego roku życia.

Pewnie kojarzysz, że w stołecznym uczniowskim klubie Yuko prowadzę zajęcia z dziećmi i młodzieżą w różnym wieku. Nie masz jednak pojęcia, że najwięcej radości sprawiają mi sukcesy juniorów młodszych. Nie są jeszcze zawodowcami, lecz już nie dziećmi. To mocna grupa, wcześniej prowadzona przez Roberta. Znasz go przecież, to przyjaciel z czasów zawodniczych, obecnie szef klubu, mój szef, który cię bardzo lubi, a ty zwracasz się do niego „wujku”. Wracając do chłopców, od kiedy trafili pod moje skrzydła, na wzór naszej paczki sprzed lat buduję zespół zżytych ze sobą, ambitnych, wzajemnie mobilizujących się kolegów. Ich zaangażowanie z czasem wydaje plony w postaci sukcesów, a te z kolei nakręcają wszystkich do jeszcze większego wysiłku. Pojawia się efekt kuli śnieżnej. A przecież to tylko klub młodzieżowy, nie jakaś tam kuźnia talentów, kandydatów na przyszłych zawodowców, jak Czarni Bytom, Wisła Kraków, Śląsk Wrocław czy Gwardia Warszawa, z zapleczem, sponsorem i historią bogatą w medale. Ambicją naszego klubu jest wychowywanie przez sport, a nie zarobek. Gdybym miał jakoś nazwać swoją pracę, z pewnością do słowa „misja” dodałbym przymiotnik

„niemożliwa”, z powodu wiecznego braku funduszy. Etaty trenerskie, niczym nauczycielskie, lecz szeregowane znacznie niżej niż katechetów, wiążą się z marną pensją. Muszę dorabiać jako sędzia. Mimo to kocham swoje zajęcie. Więcej daję, niż biorę. Nie mam wygórowanych potrzeb. Co najmniej połowę tego, co wpływa na moje konto, wydaję na ciebie. Przecież wiesz.

Treningi odbywają się w sali gimnastycznej zlokalizowanej przy jednej ze szkół podstawowych. Na czas zajęć wyciągamy *tatami*, maty ze słomy ryżowej. Ciasno ułożone tworzą dwa pola do walk w kolorze bładobordowym z granatowymi opaskami. Kupiliśmy je lekko używane od kolegów z Koszalina, do naszych potrzeb doskonale się nadają. Dla urozmaicenia treningów korzystamy z podręcznych grubych materacy, drabinek, liny do wspinania zawieszanej u sufitu i jednego kosza do koszykówki z wiecznie rozdartą siatką. Kosz szczególnie przydaje się podczas rozgrzewek. Kilka lat temu, w związku z organizowanymi przez nasz klub lokalnymi zawodami młodzików, na jednej ze ścian, dość wysoko, zawisł obrazek z podobizną Jigoro Kano, twórcy judo – i tam już pozostał. Potem dodano małą flagę Polski i drugą Japonii. Od tamtej chwili moi chłopcy czują się w tym miejscu jak w domu. To nasze *dojo*, kolebka świadomości, sala do ćwiczeń.

Wiem wszystko o każdym uczniu. Prowadzę dziennik, w którym notuję ich wyniki, wagi, sukcesy i porażki, a także to, jaką prezentują postawę na kolejnym treningu, czy im się chce, czy nie, czy mają dobry dzień, czy zły. Potem rysuję wykresy ich zaangażowania w czasie, skompilowane ze wzrostem ich świadomości. Podśmiewasz się ze mnie, że mógłbym to wszystko zapisywać czy liczyć na komputerze, dodajesz mimochodem, że istnieje coś takiego jak internet. Ja uparcie ufam tylko sobie i swojemu notatnikowi. Komputery i niewidzialna sieć, skoro już muszą być, niech zaprzatają głowę i czas tym, którzy nie mają własnego życia. Ja więcej do szczęścia nie potrzebuję.

Dlaczego o tym mówię? Przecież jako mój syn powinienś wszystko o mnie wiedzieć. Mam wrażenie jednak, że nie masz pełnego obrazu. Nie interesujesz się tym, co mnie dotyczy.



Tego dnia prowadzę trening z ulubioną grupą, dwunastu chłopaków o różnej wadze, wszyscy są w twoim wieku. Wśród nich prym wie-
dzie aktualny mistrz Polski w kategorii do sześćdziesięciu sześciu kilogramów. Paweł Galik, moja duma. Koledzy nazywają go Paolo, nawet pasuje to przezwisko, to żyłasty brunet z krótkimi włosami. Robert niby żartobliwie mówi o nim, że jest moim młodszym klonem, lecz ja nie żywię do niego urazy za to porównanie. Faktycznie, wizualnie chłopak trochę mnie przypomina. I tak jak mnie w jego wieku, cechuje go przy tym naturalny talent, sumienność oraz ambicja. Zresztą nie ma innego wyjścia, wywodzi się z biednej rodziny i musi walczyć o swoje. Imponuje postawą i skromnością, ładnie wypowiada się o matce, której pomaga. Ojca nie krytykuje, choć nie brak mu powodów. Nie zachowuje się jak inni w jego wieku, szczególnie jak ty, jest dojrzały i religijny, co oznacza przywiązanie do tradycji. Lubię go i zależy mi na jego przyszłości, dlatego denerwuje mnie, że koleguje się z Pelikanem. Ten to dopiero gaduła i lekkoduch. Nosi dłuższe włosy, spinane na czas treningu w kucyk. Zapuściwszy liche baczki i coś na kształt koziej bródki składającej się z kilku rzadko rosnących, cienkich włosków, udaje starszego, niż rzeczywiście jest. Tak to widzę, żenada, ale to nie moja głowa. Raz przyszedł z koleczkiem w lewym uchu, ale wystarczyło jedno karcące spojrzenie i wąż-
pliwa ozdoba nigdy więcej się nie pojawiła. Taki mam posłuch. Na pewno ci mówiłem, choć może nie pamiętasz, ale w judo nie wolno używać, nawet mieć przy sobie, ani jednego metalowego elementu, nic, choćby zapinki na bandażu, o koleczykach czy łańcuszkach nie wspominając. Dotyczy to także kobiet. W mojej ocenie Pelikan nie

przypomina prawdziwego sportowca, raczej niedbale podchodzącego do życia rockmana, który swym błaznowaniem przynosi wstyd trzymającej się razem od przynajmniej siedmiu lat grupie. Oprócz tej dwójki pośród juniorów młodszych zwraca na siebie uwagę dość osobliwa para: Godzilla i Lekki. Pierwszy ma metr osiemdziesiąt osiem wzrostu, na zawodach startuje w wadze do dziewięćdziesięciu kilogramów. Regularnie mu przypominam, że jeśli będzie tyle jadł, a je byle co i objętościowo dużo, to wyląduje w plus dziewięćdziesiąt, czyli w grupie najcięższych zawodników od dziewięćdziesięciu kilogramów żywej wagi aż do nieskończoności, ale nic sobie z tego nie robi. Z kolei Lekki wcale nie jest jakimś tam chudzielcem czy kurduplem, ale zachowującym się dość infantylnie chłopcem kwalifikującym się w wadze do sześćdziesięciu kilogramów. Zupełne przeciwieństwo swojego przyjaciela Godzilli. Cudaki, ale moje. Reszta grupy wygląda całkiem nijako, choć każdy ma jakąś oryginalną ksywkę, na przykład Dziadek, Kanciasty, Irena.

– *Hiza-guruma*, proszę – zwracam się pewnego dnia do Paolo.

Chłopak kiwa głową z respektem, po czym wykonuje na Pelikanie niemal idealny rzut, wbijając mnie w dumę. Reszta chłopców przygląda się pokazowi z ciekawością.

– Doskonale – komentuję rozpromieniony. – A teraz po dziesięć razy na każdą stronę. *Iczy. Ni. San...*

Kiedy wymieniam kolejne japońskie liczby, chłopcy wykonują zadany rzut, naprzemiennie, raz jeden rzuca drugiego, potem odwrotnie, i zmieniają lewą na prawą, i znów w przeciwną stronę, niestety, z różnym skutkiem. W tym czasie ja, jak przystało na wnikliwego trenera, przeskakuję wzrokiem z pary na parę, żeby ocenić jakość wykonywanych ćwiczeń. Kiedy zauważam, że Lekki niewłaściwie trzyma Godzillę, podchodzę do nich, poprawiam ręce, tworząc prawidłowy uścisk, po czym staję z boku. Udając, że chwytam niewidzialnego przeciwnika, pokazuję, jak to powinno wyglądać. Na nic zdaje się

moja lekcja. Lekki, jakby na złość, przekłada uchwyt po swojemu i znowu źle przymierza się do rzutu.

– Stop! Wszyscy do mnie! – wołam w swoim ulubionym mentor-skim stylu, którego nie znosisz.

Judocy natychmiast przerywają zadanie, podchodzą bliżej i otaczają naszą trójkę, mnie i niesforną parę.

– Jaki on robi błąd? – pytam, wysyłając karne upomnienie rozbawionym małolatom.

Nagle słyszę przeraźliwe skrzypienie drzwi. A mówiłem, żeby je naoliwić. Moi podopieczni, zamiast patrzeć na mnie, odwracają głowy w kierunku wejścia na salę.

– Czego panowie szukają? – pytam, widząc dwóch facetów w średnim wieku, którzy nie dość, że weszli do sali bez pozwolenia, to teraz tarabanią się na matę.

W butach!? O nie!

– Proszę zejść z maty. Co to za zwyczaje? – mówię w miarę spokojnym głosem, lecz echo potęguje moje słowa.

– Myśmy przyszli pograć w piłeczkę – odpowiada jeden z nich, wąsaty, w złotym dresie i złotych adidasach, po czym debilnie się uśmiecha.

– Nie widzi pan, że tu się odbywa trening? – pytam.

– Widzę, ale my mamy zapłacone i...

Cisza. Jakby się wahał, czy powinien powiedzieć to, co mu przyszło do głowy.

– Ewentualnie możemy się podzielić salą – kończy.

Ruszam w jego kierunku zdecydowanym krokiem, a judocy za mną. Stajemy naprzeciwko dwóch natrętów, miażdżąc ich liczebnie. Ale nie jak bandziory. My zwyczajnie bronimy swego. Wystarczy groźnie spojrzeć, nie ma potrzeby używać siły.

– Tutaj rządzą ja i właśnie prowadzę trening z nastolatkami. Nie będziemy się dzielić salą. A może chce pan do nas dołączyć? – pytam

nadal spokojnym, choć stanowczym głosem. – A pan? – zwracam się do drugiego. – Jest pan juniorem młodszym?

Ten drugi ma lekki brzuszek, wygląda jak świnka w jeansach i kolorowym swetrze. Judokom podoba się moja zabawa, obserwują z zaciekawieniem. Ja nie zamierzam trwonić czasu na nic niewartych bęćwałów.

– Czy jest pan ubrany w stosowny strój, ma pan czyste nogi, żeby wejść na moją matę? – znów pytam pierwszego.

Facet unika kontaktu wzrokowego. Wycofują się.

– Tak myślałem. Do widzenia. Na przyszłość proszę pukać.

I tak nie zapamiętają, ale muszę tak powiedzieć. Odwracam się do nich dupą. Słyszę, że zamykają za sobą drzwi, więc razem z chłopcami wracamy do miejsca, w którym skończyliśmy.

– Koniec cyrku. Powtarzam pytanie: jaki on robi błąd?

Niestety, judocy nie mogą się jeszcze skupić. Atmosfera jak na pchlim targu.

– Hej. Co się z wami dzieje? – rzucam pytaniem, które natychmiast działa dyscyplinująco.

W końcu Lekki i Godzilla łapią się za judogi, ściągając na siebie uwagę reszty. Godzilla wykonuje krok w kierunku Lekkiego, lecz ten znów chwytą w złym miejscu i zaczyna się zapierać.

– Dość – mówię, na tym etapie nadal ukrywając poirytowanie.

– Ale on jest za duży – skarży się Lekki, nie pierwszy raz używając podobnej argumentacji, ja jednak udaję, że pierwszy.

– Tym lepiej. Wykorzystaj jego masę i sam polec – podpowiadam i zapraszam Godzillę przed siebie.

Uchwyt. Godzilla wykonuje krok w moim kierunku. Ja powoli, płynnie, prawie nie używając siły, korzystam z jego parcia w moją stronę, ciągnę go za kołnierz judogi w dół, równoległe skręcając całym ciałem i podkładając nogę. Godzilla upada z dużą siłą, amortyzując

upadek, po czym szybko wstaje, niby niewzruszony, choć wygląda na otumanionego.

– *Jū* – miękka, *do* – droga. Miękka droga. Podstawowa zasada judo. Ustąp, aby zwyciężyć – wykładam nierównym głosem i po wykonanym rzucie głębiej nabieram powietrza.

Znudzone miny młodziaków mówią mi: „Jan, powtarzasz się”. Wiem. Będę tak głądził aż do znudzenia, komentuję po raz enty w myślach, po czym dodaję na głos, gestykulując tylko dłońmi:

– Jeśli ktoś cię pcha, to go pociągnij. Jeśli cię ciągnie, to go pchnij.

W tym momencie przez mój mózg przelatuje myśl, że w życiu nie zawsze jest tak łatwo jak na macie. Nie wystarczy zastosowanie prostego chwytu, by pokonać nieprzyjaciela, nawet słabszego. Tymczasem chłopcy, choć znają na pamięć wypowiedziane przeze mnie słowa, wpatrują się we mnie niczym studenci w swojego ukochanego profesora. Lubię to porównanie i moment, kiedy na ich pyskach można dostrzec respekt, tak mocno osadzony w kręgosłupie. I wtedy zapominam, że przed chwilą mieliśmy wizytę intruzów. Daję się porwać myślom, pozwalam im wyjść ze mnie, wręcz płynę na całego:

– Jest taka piękna japońska przypowieść, że judoka powinien być tak miękki jak woda, która przecisnie się przez każdą szczelinę, a na końcu i tak wpadnie do morza.

Młodzi judocy wyglądają na rozmarzonych, ich myśli krążą zupełnie gdzie indziej, tak sądzę. Jakby wypowiedziana przeze mnie sentencja pozwoliła im udać się dalej niż to miejsce i ten czas. Bo takie jest judo, na swój sposób baśniowe. Żałuję, że tego nie rozumiesz. Tę podniosłą chwilę psuje pytanie Lekkiego, które, niestety, wywołuje salwę śmiechu:

– To ja mam mu się wcisnąć w jakąś szczelinę?

Nie wiesz o tym, bo nie masz jak się dowiedzieć, że na treningach jestem mistrzem w robieniu stosownych min na każdą okazję, więc

